INFORMATOR LITERACKI

WYDAWNICTWA EZOP

WYWIAD Z EVALDEM FLISAREM
AUTOREM KSIĄŻEK *OBSERWATOR* I *NA ZŁOTYM WYBRZEŻU*

FRAGMENTY KSIĄŻEK
OBSERWATOR I *NA ZŁOTYM WYBRZEŻU*

PLAN SPOTKAŃ AUTORSKICH
Z EVALDEM FLISAREM

SUDOKU

Evald Flisar, jeden z najważniejszych i najbardziej oryginalnych słoweńskich pisarzy po raz pierwszy w Polsce

Wydawnictwo EZOP na Warszawskie Targi Książki 2017 przygotowało tym razem dwie wyjątkowe pozycje dla dorosłego czytelnika. Prezentujemy Państwu książki Evalda Flisara, jednego z najważniejszych i najbardziej oryginalnych pisarzy słoweńskich. Evald Flisar odniósł sukces nie tylko w ojczyźnie, ale także za granicą, a fakt, iż jego utwory przetłumaczono na 40 języków (w tym kilka nawet dla Europejczyków „egzotycznych", np. amharski – język urzędowy Etiopii) oznacza, że są one dostępne dla około połowy ludności świata! Książki Flisara do tej pory nie były tłumaczone na język polski. Dzięki Wydawnictwu EZOP i Marlenie Grudzie – tłumaczce, to się zmieni. Trafiają właśnie do rąk polskiego czytelnika dwie jego powieści: ***Obserwator*** (*Opazovalec*, 2009 r.) i ***Na złotym wybrzeżu*** (*Na zlati obali*, 2010 r.).

Artysta słowa, podróżnik, humanista. Rozmawiamy z Evaldem Flisarem

Czym jest dla Pana pisanie?
Powiedziałbym: sposobem na życie. Świat i życie to chaos, nieprzejrzyste mrowie sprzecznych wrażeń, które muszę sobie układać, aby mnie nie przygniotły. Pisanie jest dla mnie porządkowaniem nieładu, narzucanego przez życie. I ten nieład najłatwiej zamieniam w ład, pisząc historie, prozatorskie albo dramatyczne. Ich struktura i ciągi wydarzeń pomagają mi zrozumieć, co się dzieje ze mną, we mnie i na świecie. Słowem, piszę po to, abym nie oszalał, abym był zdrowy mentalnie.

Dużo Pan podróżuje, odwiedził Pan ponad 90 krajów. Jest to na pewno bardzo inspirujące. Ile wrażeń, anegdot i przygód z tych podróży znajdziemy w Pana tekstach?
Prawie wszystkie opisane historie zdarzyły się naprawdę! Oczywiście teraz, gdy jestem starszy, nie podróżuję tyle, ile wcześniej. Poza tym moje podróże mają inny charakter. Gdy byłem młodszy, ogrom świata przejechałem tylko z plecakiem na plecach, mając jeden cel: aby poznać świat i przeżyć jak najwięcej. Teraz jeżdżę po świecie na prezentacje przekładów swoich książek i na inscenizacje sztuk. Ciekawe doświadczenie. To już nie jest odkrywanie świata, podróż w nieznane, nie ma w nich już tylu emocji co w pierwszych wędrówkach. Prawdą jest natomiast, że nadal „podróżuję" w swoich powieściach, gdzie akcja większości rozgrywa się na obczyźnie, w Indiach, Afryce, Londynie, Nowym Jorku itp. (tylko trzy z nich opisują wydarzenia w Słowenii, w mojej rodzinnej wsi). Dlatego mogę powiedzieć, że w moich powieściach nie ma prawie nic, czego sam bym nie przeżył. Oczywiście literatura to nie jest życie, lecz pewna wymyślona opowieść, której bazą są przeżycia i doświadczenia.

W powieści *Obserwator* pojawiają się osoby znane nam ze świata filmu, takie jak Al Pacino, Bruce Willis czy Woody Allen. Czy ma Pan swojego ulubionego bohatera popkultury? Jeśli tak to kogo i dlaczego?
Dokładnie takie samo pytanie postawił mi „Hindu Times", magazyn ukazujący się w dwumilionowym nakładzie, przy okazji wydania *Obserwatora* w Indiach. Dlatego mogę zacytować odpowiedź: Nie mam żadnych faworytów – ani wśród autorów, ani wśród powieści, ani wśród dramatów, ani wśród aktorów, ani wśród bohaterów literackich. A jeśli chodzi o popkulturę: gdzie są jej granice? I jak nazwalibyśmy jej alternatywę? W ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat granica między kulturą „masową" a „wysoką" zatarła się do tego stopnia, że nikt już nie wie, co jest „masowe", a co „wysokie". Myślę, że dzisiaj podział na literaturę „popularną" i „artystyczną" jest wysoce ryzykowny, mimo że wszyscy wiedzą, co oznacza jedno, a co drugie. Najpewniejszym wskaźnikiem różnicy między jednym a drugim jest nadal fakt, że „popularną" literaturę czytają miliony, a „artystyczną" tysiące. Nigdy nie było inaczej. Fakt, że w *Obserwatorze* występują znani aktorzy filmowi, a i oni są wymysłem albo iluzją głównego bohatera, nie świadczy o tym, że to powieść „popularna". Wręcz przeciwnie. To właśnie *Obserwator* ma najwięcej warstw znaczeniowych ze wszystkich moich powieści. Niektórzy znajdą wszystkie, inni tylko jedną. To naturalne. Czytelnicy różnią się między sobą. Najważniejsze, aby poczuli więź z książką, nawet na poziomie podstawowym.

> „Pisanie jest dla mnie porządkowaniem nieładu, narzucanego przez życie".

Zarówno w *Obserwatorze*, jak i w *Na złotym wybrzeżu* pojawiają się postaci, które zmieniają twarze-maski, przejmują czyjąś tożsamość, czasem gubiąc siebie. Czym jest dla Pana tożsamość i czy może któryś z bohaterów Pana powieści lub dramatów jest Pana alter ego?
Każdy z moich bohaterów albo postaci dramatycznych jest w mniejszym albo większym stopniu moim alter ego. Nie potrafię sobie wyobrazić, aby było inaczej. Prawie wszyscy moi bohaterowie z natury są niezadowoleni z życia, z rzeczy takimi, jakie są, dlatego cały czas uciekają w większe lub mniejsze odstępstwa od realności, do wygodnych wymyślonych, alternatywnych światów, w których mogą być tacy, jacy chcieliby być, i w których życie jest takie, jakie mogłoby być. Wprawdzie jest to dosyć ogólna właściwość, ale skontruowana z dużą pieczołowitością. Tak jak ich paranoja, strach, że ktoś ich śledzi, ktoś, kto ich rozszyfruje, odkryje ich najintymniejszą tajemnicę albo słabość i wystawi na pośmiewisko. Dlatego cały czas uciekają z roli w rolę, cały czas starają się, aby nie byli właśnie tym, kim są. Odgrywanie ról weszło im w krew i często nie zdają już sobie sprawy z tego, że grają. Oczywiście to odgrywanie ról w grze pokazuje także inną stronę, co szczególnie wyraźnie widać w dramacie *A co z Leonardo?* Staram się tam pokazać, jak krucha jest granica między tym, co „prawdziwe" a tym, co „wymyślone" i jak nasze własne fikcje przypadkowo wdzierają się w życie codzienne. Dlatego powiedziałbym, że tożsamość jest bardzo podatna na zmiany, nie tylko ewolucyjne, ale także radykalne. Tożsamość jest opowieścią, którą opowiadamy sami o sobie.

> „Prawie wszyscy moi bohaterowie z natury są niezadowoleni z życia, z rzeczy takimi, jakie są(...)".

Pana utwory doczekały się tłumaczeń na kilkadziesiąt języków, tych bardziej i mniej popularnych. Sam Pan oprócz słoweńskiego pisał także w języku angielskim. Pana kariera trwa już wiele lat. Teraz, do tego grona wydań dołączy tłumaczenie Marleny Grudy i polski czytelnik. Czy jest to może z jakichś powodów szczególny odbiorca dla Pana?
Bardzo szczególny. Nie tylko dzięki dozgonnej wdzięczności Janowi III Sobieskiemu, że pod Wiedniem obronił kulturę chrześcijańską przez Turkami (niech to nie zabrzmi szowinistycznie, ale każdy z nas ma w wierze i kulturze swój dom), lecz również z powodu tragicznej historii Polski, która zawsze przypominała mi, że los nie oszczędza także dużych narodów. Oprócz tego w dzieciństwie moim ulubionym pisarzem był Henryk Sienkiewicz, a później jednym z ulubionych Józef Teodor Konrad Korzeniowski (Joseph Conrad). I gdy „Irish Times" zakwalifikował moją powieść *Na złotym wybrzeżu* do 13 najlepszych europejskich powieści klasycznych o Afryce (obok *Jądra ciemności* Conrada), moja przychylność względem Polaków i języka polskiego nabrała dodatkowego znaczenia. Prawdziwie ubolewałem nad faktem, że moje książki przetłumaczono na język japoński, chiński, bengalski, malajalam, amharski, arabski i inne, a na polski – pokrewny język słowiański – nie. Wydawnictwo Ezop z pomocą Marleny Grudy to zmieniło i teraz czuję z tego powodu wielką radość i dumę. Bardzo bym chciał, aby wystawiono w Polsce także którąś z moich sztuk.

Przed Panem tygodniowy pobyt w Polsce. Odwiedzi Pan Warszawę, Katowice i Kraków. Mamy nadzieję, że będzie to dla Pana bardzo miły, ciekawy i inspirujący czas. Dziękujemy za rozmowę.

Wybitny pisarz, a przede wszystkim ciekawy człowiek

Evald Flisar – pisarz, dramaturg, eseista, redaktor, tłumacz. Studiował komparatystykę literacką w Lublanie, filologię angielską w Londynie i psychologię w Austrii. Podróżnik, obieżyświat, odwiedził około 90 krajów, m.in. Australię, Indie, Japonię, Tajwan, Rosję, Macedonię, Czechy, Egipt, Rumunię, Stany Zjednoczone Ameryki. Pracował jako kierowca metra, redaktor encyklopedii, scenarzysta w Hollywood, autor słuchowisk radiowych i teatralnych przedstawień telewizyjnych dla BBC, był prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Słoweńskich, obecnie jest redaktorem naczelnym najstarszego słoweńskiego magazynu literackiego „Sodobnost" oraz prezydentem słoweńskiego PEN Center.

Twórczość i nagrody
Autor trzynastu powieści, dwóch zbiorów opowiadań, trzech dzienników z podróży, dwóch książek dla dzieci i piętnastu dramatów. Jego utwory przetłumaczono na 40 języków, w tym na język japoński, arabski, chiński, bengalski, hindi, malajalam, indonezyjski, nepalski, marathi i amharski. Dramaty Flisara wchodzą w skład stałego repertuaru teatrów na całym świecie (ostatnio były wystawiane w Austrii, Białorusi, Egipcie, Indiach, Indonezji, Bośni, Serbii, Japonii i USA).
Trzykrotny laureat Nagrody im. Gruma, laureat Nagrody Funduszu im. Prešerna i Nagrody im. Župančiča. Dziewięć razy był nominowany do nagrody *Kresnik* (słoweński *Booker*) za najlepszą słoweńską powieść roku i osiem razy do Nagrody im. Gruma za najlepszy słoweński dramat.

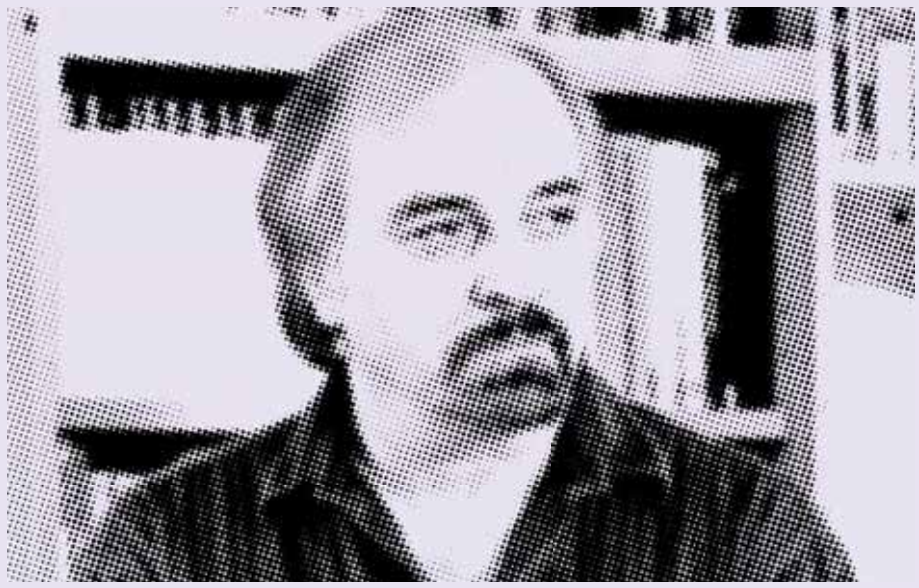

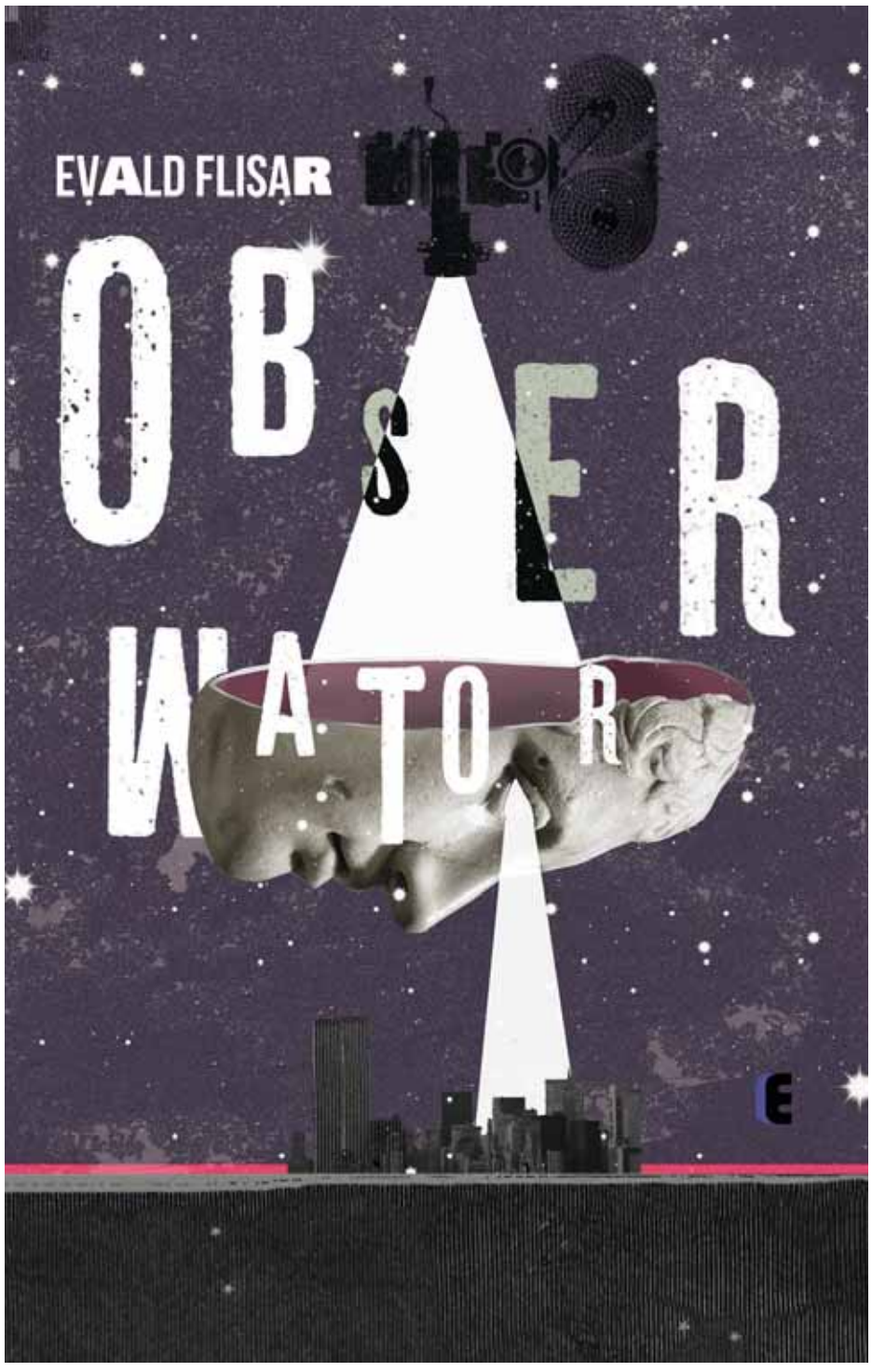

Obserwator

Simon Bebler, podający się za Bartona Finka, 22-letni student filozofii i początkujący dramaturg, żyjący w wyimaginowanym świecie literatury i filmu, dowiaduje się, że jest śmiertelnie chory, podobnie jak bohater jego debiutanckiej sztuki. Jak przeżyć ostatni rok życia? Oto pytanie, na które musi sobie odpowiedzieć. Włócząc się po ulicach Lublany, spotyka tajemniczego kloszarda, który proponuje mu bilet do Nowego Jorku w zamian za drobną przysługę, dostarczenie pewnej przesyłki. Simon/Barton przyjmuje zaproszenie, nie przeczuwając, że w tym momencie traci kontrolę nad wszystkim. Zostaje wciągnięty w sensacyjną intrygę pełną trupów, zagadkowych pustych pudełek, FBI, sobowtórów i kochanków. A jaką rolę w tym ogólnoświatowym spisku pełnią gwiazdy kina: Al Pacino, Bruce Willis, Woody Allen czy Uma Thurman?

Historia miłosna? Metafizyczny thriller? Powieść szpiegowska? A może kryminał rodem z książek Paula Austera? Evald Flisar wciąga czytelnika w przewrotną grę, żonglując tożsamościami bohaterów, mieszając gatunki literackie, prowokując. Nie ucieka przy tym od trudnych egzystencjalnych problemów bliskich każdemu z nas. Jak zmienia się człowiek w obliczu śmierci, w konfrontacji z nieznanym światem, samotnością? Co to znaczy być wolnym? Jakie są granice wolności? Co daje nam bogactwo, a co zabiera? Jakie są nasze najskrytsze pragnienia? Jak znaleźć w sobie odwagę?

Obserwator został przetłumaczony na język angielski, bułgarski, rumuński, malajalam, amharski i arabski. W 2010 r. otrzymał nominację do nagrody *Kresnik* (słoweński *Booker*) za najlepszą słoweńską powieść roku.

Z recenzji:

Evald Flisar nie napisał jeszcze powieści z wątkiem szpiegowskim/kryminalnym z taką ilością zwrotów akcji czy tytanicznej energii, która towarzyszy postaciom. (…) Tworzywem narracyjnym jest prawdziwe życie, choć w powieści występuje ono jako zjawisko, na które składają się wydarzenia z życia realnego bohatera i życia bohatera wykreowanego na bazie postaci z amerykańskich książek i filmów. (…) Powieść jest współczesną interpretacją społeczeństwa, kultury, cywilizacji. (…) Początkowo bohater nie jest „bohaterem", a jedynie „obserwatorem" (jak sam tytuł wskazuje), który w kluczowym momencie swojego życia rezygnuje z tej roli i staje się buntownikiem. (…) Postawiony w sytuacji granicznej odnajduje sens, nie nowego podrobionego życia, lecz życia autentycznego.

Jože Horvat, „Sodobnost"

Patroni:

krytycznym okiem

LUBIĘ CZYTAĆ

Tłumaczenie:
Marlena Gruda

Projekt okładki:
Rafał Kucharczuk

Fragment książki:

Simon, stojąc w długiej kolejce podróżnych na lotnisku im. Johna F. Kennedy'ego, gdzie zakończył swój dziewięciogodzinny lot boeingiem z Frankfurtu, zastanawia się, co takiego czeka go w tym dużym kraju, o którym tyle słyszał, ale nigdy nie pomyślał, że go tak szybko odwiedzi. A co dopiero, że odwiedzi go w okolicznościach, których nie rozumie. Jasne jest dla niego tylko to, że znalazł się w żlebie, z którego nie może wydostać się inaczej jak zjeżdżając po nim w nadziei, że gdzieś się zatrzyma.

Świadomość, że zostanie w wiecznej ciemności nie wywołuje w nim już takiego lęku, jak dzień wcześniej, gdy lecąc airbusem 320 nad Alpami, niemal zesztywniał na myśl, że już nigdy nie zobaczy tych miejsc. Lęk zastąpiło nowe uczucie: że w istocie nie ma znaczenia, co wydarzy się w tym ostatnim roku, bo przecież nic z tych rzeczy nie będzie poświęcone przyszłości, nic tak naprawdę nie będzie zrobione z myślą o możliwych skutkach, wszystko będzie miało swój oddźwięk w próżni. To uczucie wywołuje w nim tylko ulgę.

Czekając w kolejce, poruszającej się wolniej niż ślimak, próbuje wymyślić bardziej lub mniej zabawne odpowiedzi na nieuchronne pytanie: „W jakim celu przybywa pan do USA?". Słyszał opowieść apokryficzną o młodzieńcu, którego przed wieloma laty właśnie na tym lotnisku zapytano: „Ma pan zamiar obalić amerykańską władzę?". A ten, myśląc, że urzędnik żartuje, też odpowiedział żartobliwie: „Oczywiście, pomoże mi pan?". I natychmiast go aresztowano.

Na coś takiego Simon nie może sobie pozwolić, przecież ma pilne sprawy do załatwienia. Ale mógłby powiedzieć na przykład: „Przybyłem, żeby wejść na Empire State Building i rzucić się na chodnik z tarasu widokowego". Lub: „Jestem artystą, robię instalacje, przybyłem, żeby obwiesić Statuę Wolności łańcuchami". Wie dobrze, że każda z tych odpowiedzi wpakowałaby go w tarapaty, dlatego postanawia powiedzieć: „Chciałbym oddać hołd ofiarom ataku terrorystycznego, który zburzył Światowe Centrum Handlowe; wśród nich był mój wuj".

Gdy w końcu przychodzi na niego kolej, urzędnik, sądząc po latynoamerykańskiej karnacji, sam imigrant, pyta tylko:

— Jak tam w Słowenii?

— Tak jak zwykle. Za dużo deszczu, za mało słońca.

— W takim razie będzie pan rozczarowany, tutaj jest tak samo.

— Nic już nie jest takie, jak było.

— To prawda. Zgodnie z nowymi zasadami musimy wziąć odciski palców i zrobić panu zdjęcie.

— Nie ma problemu. Choć wątpię, że będę w stanie się uśmiechnąć.

— Jest pan młody, powinien się pan śmiać dzień i noc.

— Dlatego przybyłem do Nowego Jorku. W nadziei, że znajdę wystarczająco dobry powód.

— Życzę panu dużo szczęścia.

Simon spogląda w obiektyw, przyciska palec do poduszeczki i odciska go na podanej karcie. Urzędnik wbija mu do paszportu pieczątkę, uśmiecha się i mówi: „Witamy w Ameryce", i te słowa załatwiają sprawę. Simonowi trochę przykro, że nic go nie zatrzymało: jeśli dalej wszystko będzie szło tak gładko, w ostatnim roku życia nie spotka go nic ciekawego.

Takie poczucie nie trwa długo. Gdy dociera z bagażem do hali przylotów, zbędnie wytęża wzrok, żeby w tłumie czekających po drugiej stronie przegrody zobaczyć kogoś, kto trzymałby w rękach tekturę z napisem Simon Bebler. Dopiero po przebiciu się przez pierwsze rzędy zauważa kawałek pudełka z kartonu, na którym jest nagryzmolone jego imię. I to jeszcze z błędem: Symon, zamiast Simon. Napis przy obfitym biuście ściska korpulentna czarna kobieta z wyróżniającymi się oczami i błyszczącymi zębami. Jej wzrok przeskakuje z osoby na osobę, jej wyraz twarzy jest bliski paniki: jakby bała się, że nie podejdzie do niej nikt o tym imieniu.

Simon, z wdzięczności za szansę uszczęśliwienia kogoś zaraz po przybyciu, zatrzymuje się przed nią z uśmiechem na twarzy.

— Czeka pani na mnie.

— Nieprawda. Pan Symon ma sześćdziesiąt lat i jest o głowę wyższy ode mnie.

— Ale powiedziano mi…

— Proponuję, żebyś przestał mnie dręczyć, inaczej zawołam ochroniarza.

Speszony Simon przeciska się dalej i staje przed kantorem. Zalewa go uczucie niemego strachu. Nagle czuje się zagubiony. Nagle jest sam w obcym mieście. I nadal nie do końca rozumie, co tu robi. Nachodzi go myśl, że w paczce, którą odebrał w Kompasie, jest heroina i że miał niesamowite szczęście, że na przejściu przez zielony kanał nikt go nie zatrzymał. To wyjaśniłoby też, dlaczego nikt na niego nie czeka, w końcu gdyby mu skonfiskowali heroinę, chcieliby wiedzieć, komu zamierzał ją przekazać. I pierwszy, kto wpadłby im w ręce, byłby człowiek stojący przy wyjściu z jego imieniem na kawałku tektury. To oznacza jeszcze coś: że rzeczywiście tutaj są. Że go obserwują i śledzą. I że osaczą go w momencie, gdy uznają, że niebezpieczeństwo minęło.

Rzuca okiem na tłum, żeby zobaczyć, czy ktoś zachowuje się jakoś podejrzanie. Wychwytuje kilka spojrzeń, które zatrzymują się na nim wyrywkowo, jednak żadne z nich nie dłużej niż na innych twarzach. Większości ludziom gdzieś się spieszy, rezerwują hotele, wynajmują samochody, kupują żetony na autobusy i taksówki, inni znowu spotykają się z czekającymi, wznoszą okrzyki, obejmują się. Nie ma nikogo, kto otwarcie lub skrycie poświęcałby swoją uwagę Simonowi.

Może się myli. Może w paczce jest jakaś ludowa pamiątka lub skromny prezencik na urodziny. Może kloszard tylko żartował, grożąc mu nieprzyjemnymi konsekwencjami, jeśli nie dostarczy paczki adresatowi. Chyba że jest członkiem międzynarodowej szajki terrorystycznej i w paczce jest uran lub jakiś inny składnik niezbędny do budowy bomby atomowej. Albo jest w nim probówka z zarazkami czarnej ospy lub jakiejś innej śmiertelnej choroby. Simon po cichu robi wdech; znowu zaczyna go ściskać w sercu, znowu najchętniej zostawiłby bagaż tam, gdzie jest, i ruszyłby w kierunku wyjścia.

W odpowiedniej chwili uświadamia sobie, że to byłoby najgorsze rozwiązanie. Jeśli nie nikt inny, obserwują go liczne kamery wideo, a przez nie ochroniarze lotniskowi. Tylko jeden podejrzany ruch i natychmiast wymierzone będą w niego lufy dziesięciu rewolwerów.

„Drop your gun! Raise your hands!"

Bezpiecznie jest sięgnąć do kieszeni i wyciągnąć telefon? Nie przedziurawi go w mig dwadzieścia policyjnych kulek, tak jak przed rokiem młodzieńca, który w wigilię swojego ślubu na chodniku przed drzwiami restauracji w Queens sięgnął do kieszeni po papierosy? Policja usprawiedliwiła akcję swoich mężów potrzebą samoobrony, gdyż ruch „można było rozumieć jako groźbę: w kieszeni mógł być pistolet". Przekonany, że swojego ostatniego roku życia nie zakończy przedwcześnie, sięga najpierw do kieszeni spodni, wyciąga chusteczkę i wyciera nos. Następnie, zamiast włożyć chusteczkę z powrotem do kieszeni spodni, wciska ją do kieszeni marynarki, w której ma telefon; gdy wyciąga rękę, jest już absolutnie jasne, że rzecz między jego palcami to nie pistolet, a „cell phone", tak będzie musiał go nazywać na tym kontynencie. Wybiera numer i podnosi telefon do ucha. Mija trochę czasu, zanim po drugiej stronie, na drugim kontynencie odezwie się głos tego, do kogo dzwoni.

— Dotarłeś szczęśliwie? — pyta kloszard.

— Powiedział pan, że będzie tutaj ktoś z moim imieniem na kawałku tektury.

— Może to nie tektura, tylko zwykły papier.

— Jest tutaj tylko jakaś Murzynka. Czeka na Symona z igrekiem. Sześćdziesięciolatka.

— Zapytaj, czy czeka na kogoś, kto ma przesyłkę dla Vincenta Vegi.

— Zagroziła mi, że zawoła ochroniarza.

— W Nowym Jorku na każdym kroku będzie ci coś groziło.

— Niech mi pan powie, co jest w paczce.

— Otwórz, jeśli jesteś taki ciekawy.

— Powiedział pan, że Vincent Vega mnie zabije.

— Z nim nigdy nic nie wiadomo.

— Co mi pan radzi?

— Radź sobie. To ci radzę.

I tak Simon postanawia sobie radzić. Koniec końców dotychczas potrafił sobie radzić w większości sytuacji, nawet tych najtrudniejszych, choć w takiej trudnej jeszcze nigdy nie był. Bierze bagaż i wraca do tłumu przed wyjściem, gdzie wcześniej Murzynka pożegnała go strasznym spojrzeniem. Naraz stoi tam pięć osób trzymających w rękach kartki z nazwiskami. Mr. Davidson, Otmar Humpernickel, Sally Brugman, Trevor Morris, Laima Masyte. Żadnego Simona. Murzynki też już nie ma. Najwyraźniej jej pan już przyszedł i go zabrała. Simon sięga do kieszeni, żeby jeszcze raz zadzwonić do kloszarda, lecz za chwilę rozmyśla się. Przypomina sobie, że ma w portfelu wizytówkę z adresem i numerem telefonu Vincenta Vegi. Wyciąga portfel, przeszukuje go i stwierdza, że wizytówka w niewiadomy sposób zniknęła. Jeszcze raz sprawdza wszystkie przegródki – nic. Wyciąga telefon i jeszcze raz dzwoni do kloszarda. Jeśli miałby adres, mógłby pojechać do Vegi taksówką. Kloszard go na pewno ma. Telefon jednak dzwoni w próżnię.

Simona ogarnia lęk.

Utknął na nowojorskim lotnisku, sam jak palec.

Ale lęk trwa tylko kilka sekund, potem przeradza się w nowe, ledwo Simonowi znane uczucie, jakim jest jednocześnie przekora,

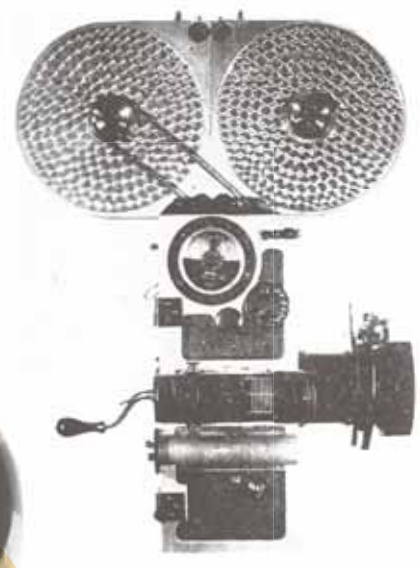

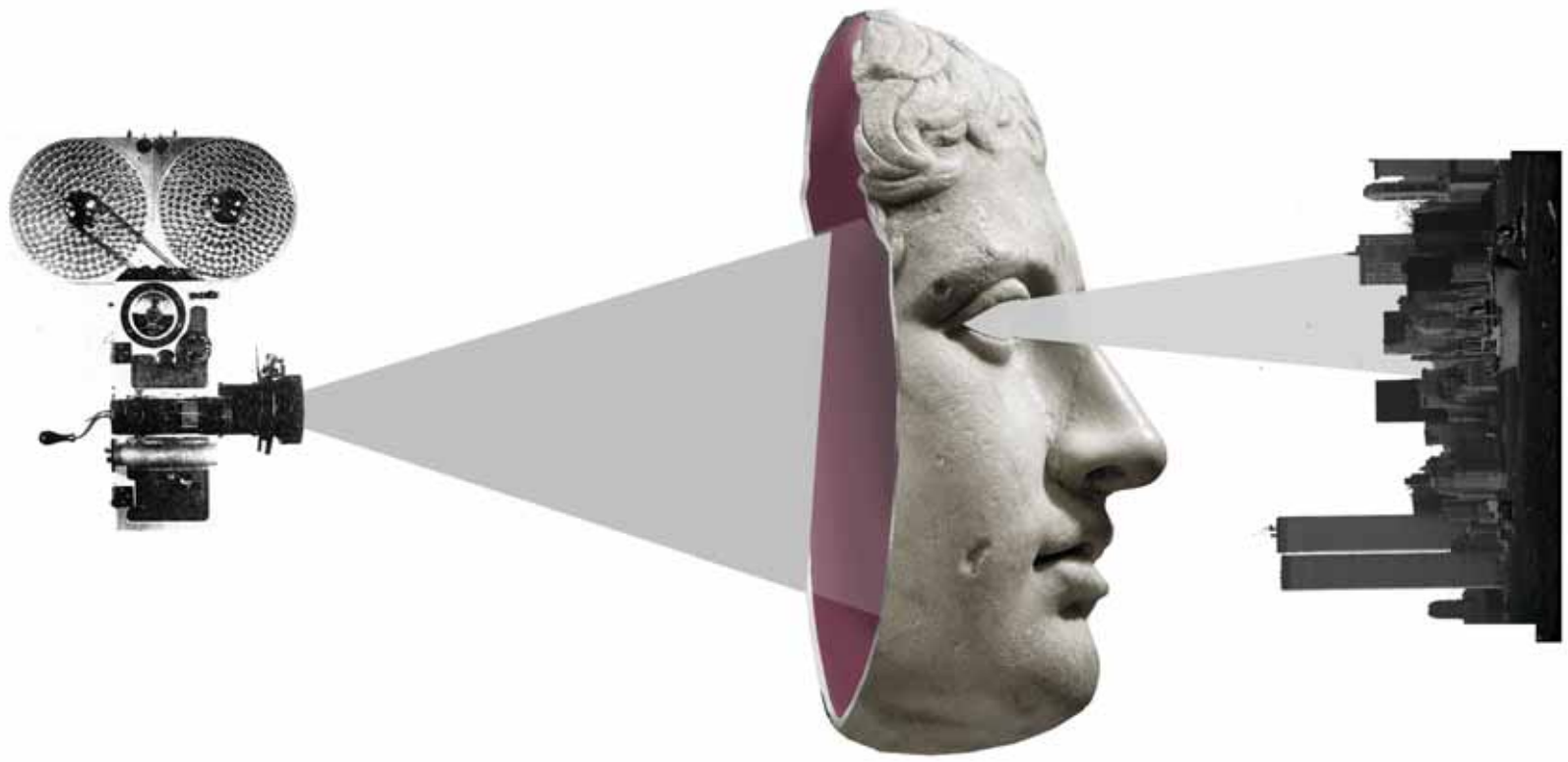

radość z przekory i zachwyt radością. Napięcie, które nagle w sobie czuje, przypomina mu wyostrzoną czujność, jaka związana jest z oglądaniem filmów akcji (czujność będąca jednocześnie też pewnego rodzaju hipnozą). Przypomina mu intensywny szum krwi w żyłach, który towarzyszył jego obserwacjom gier łóżkowych Sorai. Żyję, bardziej czuje, niż myśli Simon. Żyję, więc jestem. Zaczęła się moja historia, największa historia w moim życiu.

Ma wrażenie, że o tym, jak spędzi ostatni rok swojego życia, myślał dotąd ze zbyt dużym dystansem, że bardziej marzył, niż konkretnie planował. I że w gruncie rzeczy nie ułożył żadnych planów, zrobił to niesamowity, prawie nierealny, przypadkowo napotkany człowiek. Wszystko tak naprawdę mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej; mógłby dalej gapić się przez okno swojego pokoju w Lublanie i użalać się nad sobą. Zanim zebrał się na odwagę, żeby złapać życie, życie jego złapało. Czy nie czas dać wyraz wdzięczności losowi? Żeby przestał zwalniać i zaczął uczestniczyć w tym, co się dzieje?

Rozgląda się po dużej hali lotniska i znajduje najbliższy znak WC. Razem z bagażem wciska się do wolnej kabiny, opuszcza deskę sedesową i siada na niej. Z torby podręcznej wyciąga paczkę, którą ma przekazać Vincentowi Vedze. Postanawia ją rozpakować i zobaczyć, co udało mu się przemycić przez urząd celny.

W chwili, gdy zrywa pierwszy kawałek taśmy sklejającej papier podarunkowy wzdłuż paczki, ktoś wchodzi do sąsiedniej kabiny, przekręca zamek i siada na muszli. Simon słyszy ciężki oddech, który ustaje po kilku sekundach. Wydaje mu się, że sąsiad przysłuchuje się szumowi papieru, dlatego przestaje zrywać taśmę.

W ciszy głęboki męski głos po drugiej stronie przegrody pyta:

— Simon Bebler?

Simon jest tak zdziwiony, że nie może wydusić z siebie ani słowa. A jednak są tutaj!

— Pytam, czy ty jesteś Simon Bebler.

— Tak — wydusza zachrypniętym głosem.

— O ile wiem, coś przywiozłeś.

— Tak.

— Mógłbyś to, co przywiozłeś, położyć na podłodze i przepchnąć przez szparę na moją stronę?

— A pan to Vincent Vega?

— Vincent Vega to mój szef.

Ostatnie słowa nie wydają się Simonowi wystarczająco przekonujące. Najchętniej pozbyłby się paczki jak najszybciej, ale nie chciałby jej dać tak po prostu komuś.

— Potrzebuję dowodu, że to prawda.

— Popatrz na nogi.

Simon spogląda na nogi. Ze szczeliny wystaje lufa pistoletu.

— Jesteś zadowolony z dowodu?

Pistolet jest bez tłumika. Simon, który widział ponad sto filmów amerykańskich, wie, że gdyby nieznajomy w sąsiedniej kabinie nacisnął na spust, byłby straszny huk. Ale to nie wszystko. Potem musiałby przejść przez przegrodę, żeby dotrzeć do paczki, co trwałoby jakiś czas; później musiałby liczyć na to, że w tym momencie nikt inny nie wejdzie, i ostatecznie musiałby uciec. Nie udałoby mu się. Od razu po strzale włączyłby się alarm, do ubikacji zbiegliby się ochroniarze, zabiliby go. Simona nachodzi myśl: typ kanciarza. Postanawia nie dać się zwieść.

— Tak naprawdę nie jestem Simon Bebler, tylko Barton Fink. I niczego nie mam dla Vincenta Vegi. To był tylko żart.

Chwila ciszy. Pistolet znika, a potem znowu się pojawia i celuje w Simona jeszcze bardziej agresywnie.

— Liczę do pięciu, w tym czasie możesz się pomodlić.

— A można do dziesięciu? Modlę się powoli i zawsze razem Ojcze nasz i Zdrowaś Mario.

— Za ten sarkazm dostaniesz kulkę w brzuch, żebyś dłużej umierał.

Simon nagle przypomina sobie, że w torbie naramiennej ma jeszcze jeden pakunek: mydło zapachowe, które kupił na lotnisku we Frankfurcie na prezent dla Vincenta Vegi. A ściślej pudełko z trzema różnymi kawałkami mydła; ekspedientka wyjątkowo się postarała, gdy powiedział, że ma to być dla pana z wyszukanym gustem.

— Jeden, dwa… — odlicza głos za przegrodą.

Simon grzebie w torbie, wyciąga pakunek z mydłem, pochyla się i podaje go przez szparę pod przegrodą do sąsiedniej kabiny. Zanim położy go na podłodze, z drugiej strony łapią go silne palce, razem z pakunkiem znika też pistolet, drzwi kabiny otwierają się i kroki, którym towarzyszy lekki pisk adidasów po gładkich kafelkach, zmierzają do wyjścia. Simon wstaje, wchodzi na muszlę i zagląda przez górną krawędź drzwi. Widzi ogoloną głowę i szerokie ramiona w czerwonej wiatrówce, które tuż po chwili znikają za rogiem.

A teraz w nogi, myśli Simon. Teraz nie ma czasu, żeby sprawdzić, co jest we właściwej paczce. Jak tylko nieznajomy odkryje oszustwo, pierwszą rzeczą, po którą sięgnie, będzie pistolet.

Bierze plecak i bagaż, nieudolnie wydostaje się z kabiny i wybiega na krótki korytarz prowadzący z powrotem do hali. Szybko rzuca okiem na panujący wokoło zgiełk, żeby sprawdzić, czy za jakimś słupem nie czeka czerwona wiatrówka. Następnie czujnie wypatruje znaku „Taxi", dopóki nie znajdzie się przed wejściem do terminalu, gdzie długa kolejka podróżnych czeka, żeby wsiąść do jednej z żółtych taksówek, tak samo czekających w kolejce. Simon szacuje, że musiałby stać co najmniej pół godziny; w tym czasie ogolony na pewno już by wrócił. Gdy rozgląda się rozpaczliwie wokoło, podchodzi do niego energiczny Hindus z brodą i turbanem, pewnie sikh, i pyta go, czy nie potrzebuje szybkiej osobistej taksówki do miasta. Pewnie pracuje na czarno.

— A gdzie pan ma samochód? — pyta Simon.

Sikh pokazuje, żeby szedł za nim. Za pierwszym rogiem stoi zaparkowany biały ford. Simon ląduje na tylnym siedzeniu, razem z bagażem.

— Naprawdę bardzo mi się spieszy — mówi. — Dopłacę.

Sikh siada za kierownicą i rusza z piskiem opon. Niebawem są na obwodnicy.

— Dokąd? — pyta kierowca.

— Dokądkolwiek — odpowiada Simon. — Manhattan.

— Gdzie na Manhattanie?

— Nie wiem. Central Park?

— Która część?

— Wszystko jedno. Może pan trochę przyspieszyć?

— To będzie kosztowało.

— Nie mam za dużo pieniędzy.

— To zwykle słyszę od Żydów. Jesteś Żydem, prawda?

— Nie jestem — odpowiada ze złością Simon.

— Sami Żydzi. Dzisiaj już trzeci. Zadam ci pytanie, które zadałem dwóm pierwszym. Dlaczego zabiliście Jezusa?

— Jestem przeziębiony. Wolałbym milczeć.

— Milczenie jest przyznaniem się do winy. Wiesz, w ilu językach mówi się w Nowym Jorku? W stu siedemdziesięciu. A wiesz, ilu mieszkańców Nowego Jorku urodziło się poza granicami Ameryki? Trzydzieści sześć procent. A wiesz, że burmistrz Nowego Jorku, oczywiście Żyd, jest jednym z najbogatszych Amerykanów? Dlatego pytam cię, dlaczego Żydzi zabili Chrystusa?

— W ogóle nie wiem, o czym pan mówi.

— Myślisz, że nie potrafię rozpoznać Żyda?

— Jak pan zamilknie, dam panu napiwek.

— Napiwek musisz mi dać tak czy inaczej, jesteś w Nowym Jorku.

— Nie ma pan licznika. Jeździ pan na czarno.

— Mogę się zatrzymać. Możesz wysiąść.

— Nie. Dam panu napiwek. Obiecuję. Tylko jeśli będzie pan jechał trochę szybciej.

Dzwoni telefon leżący na przednim siedzeniu. Sikh sięga po niego i podnosi do ucha.

— Tak, panie Vega. Jest u mnie, w samochodzie.

Słucha głosu po drugiej stronie, następnie dodaje:

— Było o mały włos, ale teraz jest w porządku. Nie widziałem, żeby ktoś nas śledził. Dziękuję panu.

Składa telefon i rzuca go z powrotem na siedzenie obok.

Simon siedzi na tylnym siedzeniu cały zesztywniały. Gdy się otrząsa, przechyla się do przodu i pyta ostrożnie:

— Czy to był przypadkiem pan Vincent Vega?

— Chłopcze — odpowiada sikh — nawet nie wiesz, ile szczęścia masz w tej swojej głupocie.

— Nie rozumiem.

— Dlaczego od razu nie wyszedłeś na zewnątrz? Czekałem na ciebie z twoim imieniem na kawałku tektury!

— Wszyscy czekali na podróżnych w hali!

— Miałeś mnie poszukać!

— Skąd pan wiedział, że to jestem ja?

— Powiem ci, jeśli odpowiesz mi na pytanie. Dlaczego zabiliście Chrystusa?

— Już niczego nie rozumiem — Simon wzdycha i opiera się o fotel.

— Jutro będziesz rozumiał jeszcze mniej — mówi sikh i milknie. Resztę drogi odbywają bez słowa. Wieżowce, widoczne wcześniej tylko z daleka, zbliżają się i zagęszczają.

Tutaj jestem, przeszywa Simona.

Sikh zatrzymuje samochód na rogu szerokiej ulicy naprzeciwko Central Parku. Wskazując na wejście z szerokimi szklanymi drzwiami, mówi: — Idź do dozorcy i powiedz, że jesteś Barton Fink. Da ci klucze.

— A pan Vega? — pyta Simon, gdy stoi już z bagażem na chodniku.

— Ma obowiązki służbowe — odpowiada sikh i odchodzi. Simon śledzi go wzrokiem, dopóki nie pochłonie go ruch uliczny.

Następnie zabiera bagaż i idzie w kierunku szklanych drzwi.

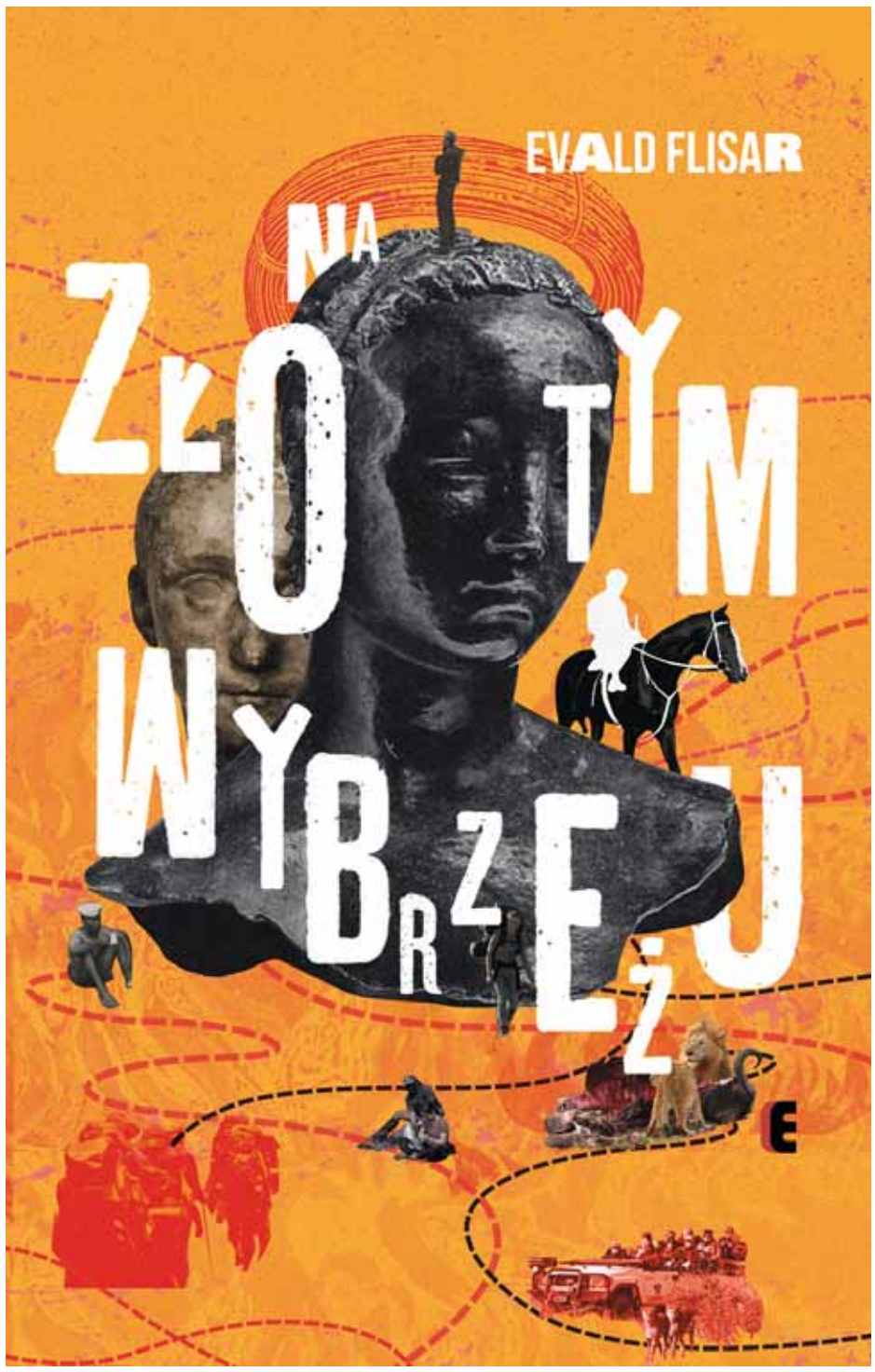

Na złotym wybrzeżu

Marko Hladnik, syn słoweńskiego pisarza i podróżnika Igora Hladnika, wyrusza do Afryki w poszukiwaniu ojca, śladami jego niedokończonej książki, której maszynopis w zagadkowy sposób trafił do jego rąk. W tym samym czasie tropem innej książki Hladnika *Biały jeździec, czarny koń* podążają dwie pary z Europy, Słoweńcy, Peter i Silvija, oraz Anglicy, Jack i Sally. Ich historie stykają się przypadkowo i wzajemnie przeplatają. Wędrówka do Złotego Wybrzeża wiedzie bohaterów przez Kamerun, Nigerię, Niger, Górną Woltę i Ghanę. W drodze spotykają tajemniczą młodą kobietę, która prowadzi z nimi wyrafinowaną grę, zmieniając imiona i tożsamość. Jest dzika, nieprzewidywalna i niebezpieczna, tak jak Afryka opisana w tej książce.

Dziennik podróży? Niewątpliwie tak, to zapis doświadczeń samego Flisara z jego podróży po Afryce Zachodniej w latach 80. Wnikliwy, obrazoburczy, niezwykle plastyczny, pozwalający czytelnikowi odkryć wszystkie smaki czarnego kontynentu. Ale też, a może przede wszystkim jest to kunsztownie skonstruowana powieść, w której Flisar powraca do swoich ulubionych egzystencjalnych tematów, stawiając pytania o sens ludzkiego życia i działania.

Powieść ***Na złotym wybrzeżu*** została nominowana w 2011 r. do nagrody *Kresnik* (słoweński *Booker*), zaś angielskie wydanie nominowano do najbardziej prestiżowej europejskiej nagrody *The Dublin IMPAC International Literary Prize*. Redakcja czasopisma „The Iris Times" zaliczyła ją do trzynastu najlepszych europejskich książek o Afryce.

Z recenzji:

Powieść „Na złotym wybrzeżu" mistrzowsko ujmuje problem uwięzienia w tożsamości, które samo w sobie nie ogranicza wolności. (…) jako główna nić tematyczna rozumiane jest w połączeniu z wolnością jednostkową i odpowiedzialnością. Sami wyznaczamy sobie drogę, tylko my jesteśmy tymi, którzy przy niej trwamy lub nie. „Była to chwila prawdy dla ojca Marka? Poznanie, że nie musi iść dalej? Że w ogóle nie musiał przyjeżdżać do Afryki? I że do domu też nie musi? Że może jechać dalej (albo wracać), bez konieczności podporządkowywania swojej drogi czemukolwiek albo wyjaśniania komukolwiek? 'Odpowiedzialność zawsze była i będzie moja', zapisał na końcu". Książka mówi zatem o uwięzieniu, które towarzyszy naszym zmianom, poprzedza je i po nich następuje. Mówi o ciemnej i nieuchwytnej stronie naszego „ja", o tym, co warunkuje nasze działanie i je hamuje, o tym, z czym możemy polemizować, aby przejąć odpowiedzialność za swoje działania, i abyśmy przez swoje doświadczenie mogli zbliżyć się do „ja".

Tina Kozin, „Sodobnost"

Patroni:

LUBIĘ CZYTAĆ · Globtroter · KONTYNENTY

Tłumaczenie:
Marlena Gruda

Projekt okładki:
Rafał Kucharczuk

Fragment książki:

Następnego wieczoru kapitan bez statku zaprosił ich na piwo do „typowego" afrykańskiego baru. Znajdował się w dzielnicy za górą, gdzie po obu stronach ulicy, przy rowach, w których płynęła gnojówka, stały skromne chaty z drewna lub blachy, liczne bez fasad, z widokiem na wnętrze, gdzie w jednym kącie znajdował się materac włosiany, w drugim

ognisko z poczerniałymi garnkami, a w trzecim zniszczona ławka. Ludzie przesiadywali i włóczyli się przed chatami bez celu. Kobiety prały bieliznę albo gotowały na otwartym ogniu, nagie dzieci sikały, wypróżniały się i dłubały w nosie. Z chat do rowów po złożonych gliniastych nasypach prowadziły zielone błyszczące bruzdy, którymi spływały ludzkie odchody, pomyje i śmieci. Gdzieniegdzie przed chatką stał skromny stragan, na którym znajdowały się różnego typu rupiecie: zawinięte w plastikowe woreczki kameruńskie ciastka, portugalskie i algierskie konserwy rybne, pudełka zapałek, mydło, buteleczki z lekarstwami, paczuszki cukru i sól. To, co było na sprzedaż przy jednym straganie, było na sprzedaż także przy drugim.

— Zobacz — szepnęła Sally do Jacka. — Żyją jak zwierzęta!

Jack odwrócił się do kapitana bez statku i zapytał, z czego żyją mieszkańcy Viktorii. Niektórzy są rzemieślnikami, odrzekł. Inni są kupcami, domokrążcami, murarzami, cieślami lub rybakami, urzędnikami, robotnikami. Część z nich zatrudniona jest w rafinerii, którą otworzyli niedawno. Niektórzy są złodziejami, bandytami i lekkoduchami, śpią pod gołym niebem i żyją kosztem innych.

Trudno było powiedzieć, kto jest kim w karczmie, do której w końcu dotarli. Ludzie siedzieli przy chropawych stołach, pili piwo i głośno rozmawiali, prawie krzyczeli, niemal zagłuszali głośną muzykę, dudniącą z głośników. Gdy weszli, wszystkie głowy odwróciły się w ich kierunku. Z oczu błysnęło coś, co przypominało osłupienie a jednocześnie wielką radość. Tak jakby Jack i Sally zaszczycili ich swoim przybyciem.

Przedarli się do stolika, gdzie czekał na nich przyjaciel Przewodniczący, któremu powierzono rezerwację krzeseł. Był już tak zalany piwem, że o wszystkim zapomniał. Nic nie szkodzi, kapitan Lawson był bratem burmistrza. W mgnieniu oka kilku młodzieńców wstało i ścisnęło się na ławce po drugiej stronie stołu. Przybysze mogli usiąść przy ścianie, skąd mieli widok na pomieszczenie. Natychmiast znalazły się przed nimi butelki piwa. Dla Sally po długich poszukiwaniach znaleziono oranżadę.

Do stołu co chwilę podchodzili różni ludzie. Witali kapitana i podawali mu rękę, tak samo Sally i Jackowi. Na koniec podeszła strasznie gruba kobieta, która od momentu ich przyjścia, przez gąszcz pustych butelek puszczała Jackowi oczko. Była tak szeroka, że chłopcy po lewej musieli wstać i przesunąć stół, inaczej nie mogłaby przejść. Stanęła za kapitanem i położyła mu rękę na ramieniu.

— Przyjaciele? — zainteresowała się.

A on z dumą odrzekł:

— Tak, z Londynu; wczoraj przyjechali.

Jack i Sally znów musieli podać rękę.

Chwilę później przy barze wybuchła straszna kłótnia. Głosy rozjuszonych mężczyzn zagłuszyły donośną muzykę. Młoda kelnerka, która znajdowała się między nimi, wyzywała

ich i groziła im. Najpierw wyłączyła głośnik, a potem zaczęła kopać wzburzonych mężczyzn w piszczele. Wszyscy spodziewali się bijatyki. Ale zamieszanie skończyło się tak szybko, jak szybko się zaczęło. Ktoś coś powiedział, ktoś zażartował — i mężczyźni zaśmiali się. Mordercze spojrzenia zamieniły się w łagodne mruganie.

— Tak — powtórzył kapitan Lawson, kiedy przyszła trzecia kolejka piwa. — My, Afrykańczycy, jesteśmy bardzo życzliwymi ludźmi.

Potem na scenę weszli czterej chłopcy i zaczęli grać. Z dużego głośnika na ścianie wydobywały się rytmiczne dźwięki gitar i bębnów. Jeden spośród gitarzystów zaczął śpiewać, a reszta nuciła w tle. Pierwsza piosenka zlała się w drugą, druga w trzecią.

— Znacie tę muzykę? — zapytał kapitan Lawson. — High life. Muzyka zachodnioafrykańska.

Początkowo nikt nie tańczył. Potem na parkiet wyszedł drobny pajac w średnim wieku, ubrany w letnie ubranie przypominające piżamę. Cienki bawełniany materiał był zadrukowany wzorem w białe jabłka. Ten mały jabłkowy pajac ugiął kolana, jakby chciał usiąść, i wychylił głowę do tyłu, jakby patrzył w gwiazdy. Wybałuszone oczy skakały od stolika do stolika, żeby sprawdzić, czy ludzie go obserwują. Gdy zobaczył, że znajduje się w centrum uwagi, zaczął poruszać okrągłym, wypiętym tyłkiem od lewej do prawej i wykręcać się w pasie jak tancerka podczas tańca brzucha. Ruchy tyłkiem powtarzał jednocześnie nadgarstkami i łokciami.

Niedługo potem jeden z mężczyzn wstał i przyłączył się do niego. Teraz ruchy stały się dialogiem wyzwań, reakcji, propozycji, harmonii. W tańcu, który dawał upust zmysłom, przybliżali się, oddalali, odsłaniali się na nowo, wdzięczyli, naśladowali, instruowali. Pomimo erotyki, w ich tańcu nie było ani cienia homoseksualności. Jackowi wydawało się, że poświęcają się czemuś, co nie jest obecne fizycznie, lecz pływa w rytmie muzyki, w oryginalności ich ruchów; że jest to obrzęd ofiarowania się niewidzialnemu, ale słyszanemu bogu rytmu.

Ten był tak zaraźliwy, że nie można było mu się oprzeć. Przywłaszczył sobie wszystko, co znalazło się w jego dźwięcznym zasięgu. Nawet Sally zaczęła mimowolnie podrygiwać ramionami i kołysać się na krześle. Rytm naznaczył także chód kelnerki przynoszącej piwo. Fotograf, który właśnie skończył robić zdjęcia grupie świętujących, przechodząc przez parkiet, zakołysał biodrami i ramionami. Rytm opanował go jak niewidzialne pole magnetyczne. Potem przez łukowate wejście wszedł bosy kramarz z górą koszul na głowie. Chodził od stołu do stołu i oferował je gościom. Gdy zauważył, że nie sprzeda ani jednej, skierował się do wyjścia. Pośrodku parkietu zaczął się kołysać, w połowie drogi do wyjścia rytm już go pochłonął. Z górą niesprzedanych koszul, tańcząc, wyszedł na pokrytą pyłem ulicę.

Parkiet zapełnił się parami wirujących ciał. Teraz mężczyźni tańczyli z kobietami. Niektórzy mieli odblaskowe krawaty i wypolerowane buty. Kobiety były ubrane w długie afrykańskie sukienki z zadrukowanej bawełny. Prawie wszystkie miały kolczyki, naszyjniki, bransoletki, pierścionki i ogromne tyłki, którymi kołysały i poruszały w przód, w tył, w bok i kręciły tak oryginalnie, że każda tancerka była jedyną w swoim rodzaju artystką. Taniec, na pierwszy rzut oka monotonny i formalny, był całkowicie improwizowany: był spontaniczną ekspresją chwilowego stanu ducha.

Podczas tańca pary nie dotykały się. Czasami ciało przybliżało się do ciała, wydawało się, że biodra uderzą w biodra, że brzuch otrze się o brzuch albo ogromny kobiecy tyłek nagłym ruchem uderzy partnera między nogami. Ale to się nie stało, zgodność ruchów była tak idealna, jakby pary były związane tysiącem niewidocznych nici. Czasami jakiś tancerz sięgnął do kieszeni, wyciągnął banknot i przycisnął go swojej partnerce do czoła. Kobieta z płomiennym uśmiechem odkrywającym śnieżnobiałe zęby włożyła banknot między piersi.

— Niektórzy są nawet łaskawi — skomentowała Sally.

— Tak mężczyzna mówi kobiecie, że chciałby spędzić z nią noc — wyjaśnił kapitan Lawson. — Jeśli weźmie banknot, to znaczy, że przyjęła propozycję.

— Idź tańczyć — Sally szturchnęła Jacka łokciem. — Kup jednej z tych panienek piwo, żebyś mógł ją złapać za dupę albo cycki. Potem będziesz mógł ją zaprosić do nas do pokoju. Nie lada wyzwanie, ale będę ci kibicować.

Jack nic nie powiedział.

— A teraz chciałabym piwo, panie kapitanie — Sally podniosła pustą butelkę, którą Jack zostawił na stole. Bysio dał znak kelnerce i w mgnieniu oka na stole przed nimi stały cztery nowe butelki.

— Może jeszcze dzisiaj się pobiją — powiedział kapitan. — Zawsze mam z tego niezłą uciechę.

— Ja też — powiedziała Sally. — Nic bardziej nie cieszy jak porządne mordobicie dwóch wielkich staruchów. Do rozlewu krwi. Jeszcze lepiej bym się czuła, jeśli zrobiliby to z mojego powodu.

— Masz bardzo ciekawą żonę — kapitan bez statku obrócił się do Jacka, święcie przekonany, że prawi mu komplement.

Nagle na środku pojawiła się młoda biała kobieta. Miała na sobie obcisłe dżinsy, które tak wyzywająco podkreślały kształt jej zgrabnych nóg, że chłopcy przy stołach zaczęli wyciągać szyje. Prawie wszystkie oczy były skierowane na nią, nawet pary na środku trochę się odsunęły, żeby móc ją zobaczyć. Pod cienką, prawie przezroczystą tkaniną białej koszuli w rytmie tańca podskakiwały niezbyt duże, ale jędrne piersi. Miała wąską, podłużną twarz, może nie do końca ładną, ale wystarczająco sympatyczną, by chętnie spojrzeć na nią więcej niż jeden raz. Przede wszystkim rysy jej twarzy nasycone były jakąś tajemniczą zmysłowością, która wraz z przymkniętymi oczami sprawiała wrażenie,

że młoda tancerka ma skłonność do wygodnictwa, lenistwa i wszelkiego rodzaju przyjemności. Pokazywała się i kąpała w morzu zachwyconych, zazdrosnych i pożądliwych spojrzeń, jakby karmiła nimi nie tylko próżność, ale powód, dla którego żyje. Najbardziej nietypowe było to, że nie miała europejskich włosów, ale czarne, pokręcone w stylu afro, bardzo podobne do fryzur tutejszych dziewczyn na parkiecie. Jakby była prawdziwą mulatką. Chyba że miała perukę.

— Długo jej nie było — wspomniał kapitan Lawson.

— Zna ją pan? — zapytał Jack.

— Znają ją wszyscy w tym barze. Trzy lata temu była w Viktorii ze starszym mężczyzną. Na początku myśleliśmy, że to jej ojciec. Potem okazało się, że to zupełnie ktoś inny. Sprzedawał ją bogatym Kameruńczykom. Biznesmenom, wysokim urzędnikom, oficerom. Niektórzy za jedną noc płacili więcej, niż ja zarobię przez cały rok. Twierdził, że jest dziennikarzem albo pisze książki, albo coś w ten deseń. Ale wszyscy wiedzieliśmy, co robią. Wprawdzie nie mieliśmy dowodów, ale mówiło się. Nikt z nas nie zapomni tej historii.

— A co się stało? — zapytał Jack.

— Był wieczór, tak jak teraz. Dziewczyna wyszła na środek z młodym chłopakiem. Pracował w porcie, pochodził z północy, muzułmanin. Był przystojny. I tańczyła z nim. Nie po afrykańsku, po europejsku, kleiła się do niego, byli przytuleni. Wszyscy na nich patrzyli, bo tutaj tak się nie tańczy. On też na nią patrzył, jej facet, który przyszedł za nią. Stanął na skraju parkietu i patrzył, jak jego dziewczyna klei się do młodego chłopaka. Był ogromnym mężczyzną, z szeroką klatką piersiową, miał wąsik i falowane siwe włosy. Prawdziwy pan, bardzo imponujący. Ale zawsze miał smutny wyraz twarzy. Jakby nic go nie uszczęśliwiało. I patrzył, jak jego dziewczyna tańczy z tym chłopakiem, bardziej kołysze się, niż tańczy. Położyła mu głowę na ramieniu. Z takim rozmarzeniem, jakby byli zakochani. A jej chłopak tak po prostu patrzył, w ogóle nie przeszkadzało mu jej zachowanie. Potem stało się coś dziwnego. Ponieważ byli mocno przytuleni i ona cały czas pocierała się o niego, spodnie chłopaka się napięły. Oczywiście stanął mu, komu by nie. Aż sterczał mu w spodniach. I dziewczyna to poczuła, jak miałaby nie poczuć, skoro nacisk ją wręcz odepchnął. Wszyscy widzieliśmy, co się stało. I kilka osób zaśmiało się. Ona też, ale widzieliśmy, że czuje się niezręcznie. Potem żartem złapała obrzmiałość w spodniach, owinęła palce wokół niej i tak mocno ścisnęła, że chłopak pisnął. Teraz nikt się nie śmiał. Przesadziła, u nas nie robi się takich rzeczy. Wszyscy spojrzeli na jej mężczyznę, interesowało nas, co zrobi.

Kapitan Lawson ucichł i wziął kilka łyków piwa.

— I? — zapytała niecierpliwie Sally.

— Był jedynym, który się zaśmiał. I to na głos. W ogóle nie wiedzieliśmy, że potrafi się śmiać. I ponieważ cała reszta była cicho, dziewczyna słyszała jego śmiech. Przestraszyła się i odsunęła od chłopaka, wręcz odepchnęła go. I czekała, co zrobi jej Daddy. Powoli wszedł na parkiet i stanął przed nią. Jej partner przestraszył się i uciekł, nie było po nim śladu. Chwilę na siebie patrzyli, on życzliwie się uśmiechał, a ona w zakłopotaniu przestępowała z nogi na nogę. Potem wyciągnął rękę z kieszeni i ją uderzył. To było jedno jedyne uderzenie, ale dziewczyna upadła na podłogę i leżała nieruchomo. Jego pięść trafiła w jej skroń, na pewno od razu straciła przytomność. A potem zaczął ją kopać. Tak po prostu tam, na parkiecie, wśród innych tancerzy, którzy stali i gapili się, bo co mieliby zrobić, przecież sprawa ich nie dotyczyła. Kopał ją w brzuch, w nogi, w piersi, w plecy tak mocno, że miotał jej ciało po parkiecie, aż dopchnął je do jego krawędzi. Potem pochylił się nad nią i rozpłakał wniebogłosy. Nie słyszałem jeszcze białego człowieka, a co dopiero takiego męskiego, żeby płakał jak dziecko. Autentycznie kwilił. Pochylił się i wziął ją na ręce. Wtuloną jak śpiące dziecko wyniósł w ciemność, nikt nie wiedział dokąd. Jednocześnie mamrotał coś w języku, którego nikt nie rozumiał. Brzmiało, jakby ją przepraszał.

— I co dalej? — zapytała Sally po chwili milczenia.

— Nigdy już ich nie zobaczyliśmy. Jego w ogóle, a ją do tego momentu. Bóg jeden wie, po co wróciła. Jakby chciała sobie przypomnieć, co jej się przytrafiło.

— Może jej mężczyzna jest z nią i jeszcze przyjdzie — powiedziała Sally.

— Wątpię. Może jest duchem. My, Afrykańczycy, wierzymy, że duchy zmarłych wracają tam, gdzie straciły życie. Może dlatego, że nie rozumieją, dlaczego umarły w taki, a nie inny sposób i chcą się z tym pogodzić.

— Nie wierzę — powiedziała Sally. — Myślę, że ta panna jest bardzo, bardzo żywa. Jeśli uszczypnęłabym ją w tyłek, pisnęłaby. Moim zdaniem wróciła, bo chce jeszcze raz przeżyć chwilę, w której mężczyzna okazał jej tak bezgraniczną miłość, że bez wstydu rozpłakał się na oczach tłumu. Która kobieta tego nie chce?

— Bardzo romantyczne — uśmiechnął się życzliwie kapitan Lawson.

— Ale teraz jest ładniejsza niż wtedy — zwrócił uwagę Przewodniczący, przyjaciel kapitana. — To oznacza, że my, Afrykańczycy, mamy rację, mówiąc, że kobiety trzeba regularnie bić. Żeby były ładniejsze.

Wszyscy z powrotem skierowali wzrok na środek. Tajemniczej białej kobiety z fryzurą w stylu afro już nie było. Zniknęła tak niespodziewanie, jak się pojawiła.

Plan spotkań autorskich

W związku z majową premierą książek Evald Flisar gości w Polsce w dniach 15 – 21 maja. Odwiedzi Warszawę, Katowice i Kraków.

15 MAJA, GODZ. 16:30 — Instytut Slawistyki Zachodniej i Południowej Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 26/28; sala 11A

16 MAJA, GODZ. 17: 00 — Klubokawiarnia Drzwi Zwane Koniem, Katowice, ul. Warszawska 37

17 MAJA, GODZ. 11:30 — Instytut Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, ul. Reymonta 4; sala 044

17 MAJA, GODZ. 18:00 — Bonobo Księgarnia Kawiarnia Podróżnicza, Kraków, Mały Rynek 4

19 MAJA, GODZ. 15:00 — Warszawskie Targi Książki, spotkanie na czerwonej Kanapie Literackiej (scena główna), **a od godz. 16:00 na stoisku Wydawnictwa EZOP nr 93/C**

19 MAJA, GODZ. 19:00 — Południk Zero Kawiarnia Podróżnicza, Warszawa, ul. Wilcza 25

20 MAJA, GODZ. 12:00 – Warszawskie Targi Książki, stoisko Wydawnictwa EZOP nr 93/C

Marlena Gruda – **tłumaczka powieści Evalda Flisara**

Marlena Gruda, urodzona w 1984 roku w Zabrzu. Absolwentka filologii słowiańskiej i literaturoznawstwa Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego. Zajmuje się literaturą słoweńską i przekładem. Publikowała w „Tekstualiach", „Arteriach", „Rp. Lirikon21", „Poetikonie", „Obdobjach", „Przekładach Literatur Słowiańskich", „Nowvinach Slawia", „Migotaniach", „Res Publice Nowej", „Korespondencji z ojcem". Przetłumaczyła na język polski powieść *Wilcze noce* i zbiór opowiadań *Mora bukowa* Vlada Zabota oraz poezję Klemena Piska *Za krzakiem majaczącego ślimaka*. Mieszka w Krakowie.

Promocja
na Warszawskich Targach Książki!

NA HASŁO **LUBLANA** DODATKOWY RABAT NA KSIĄŻKI **EVALDA FLISARA**.
WYDAWNICTWO EZOP ZAPRASZA NA **STOISKO NR 93/C**

WYDAWNICTWO EZOP
AL. ZJEDNOCZENIA 1/226
01-829 WARSZAWA
TEL. (22) 834 17 56
E-MAIL: 2EZOP@WP.PL

ZAPRASZAMY NA NASZĄ STRONĘ I DO SKLEPU INTERNETOWEGO WWW.EZOP.COM.PL
SZUKAJCIE NAS TEŻ NA FACEBOOKU

KSIĄŻKI *OBSERWATOR* I *NA ZŁOTYM WYBRZEŻU* JUŻ W KSIĘGARNIACH

ZAPRASZAMY DO GRY:)

3	1	2		9	5		7	6
5		9	1		7		8	2
4		7	2	6	3	5		
9			7			2	4	
	2	8		1			9	3
	3		9	8	2		5	7
	4	5	6				3	1
1	7		3	5	8	9		4
8		3	4	2		7		5

9		5						8
4			5	7		1		6
	2	7	6				4	
	9	6			3	5	1	2
7		4		1		3		
2	1		9	8				4
	8	1			4		9	
3			8				5	1
		2			7		6	

	1	5	2				8	
2	9	6			3	7		1
7		8	1		4	2	5	6
1	2		8	4	6		3	
5		3	7		9	1		4
	7	4	3	1			9	2
		7	4			6	2	
3		1		5	2		7	
9	4		6		8	3	1	